

O odwiedzeniu Stambułu, starożytnego Bizancjum i chrześcijańskiego Konstantynopola marzyliśmy od dawna. Ciągnęła nas tam ciekawość orientu ze sporą domieszką historii i kultury zachodniej cywilizacji, które przeplatają się na każdym kroku w tej kilkunastomilionowej metropolii na pograniczu Azji i Europy.

Podczas naszej podróży po Bałkanach, po zwiedzeniu rumuńskiej Transylwanii, odpoczywaliśmy sobie nad morzem na złotych piaskach w Bułgarii, korzystając codziennie z uroków ciepłego lata. Jednak po kilku dniach zasłużonego odpoczynku i zwykłego lenistwa zapragnęliśmy znów trochę pozwiedzać. Z rozpędu objeździliśmy całe wybrzeże Morza Czarnego z północy na południe i z powrotem, chcieliśmy też wyskoczyć do Stambułu, ale ostatecznie zdecydowaliśmy się dotrzeć do tego miasta wraz z autokarową wycieczką.

Jak na zaplanowany, dwudniowy wypad do Stambułu, samodzielna, nocna, dziesięciogodzinna jazda autem i całodzienny potem zwiedzanie, nocleg i powtórka w odwrotnej kolejności, nie za bardzo mi się uśmiechały. Do tego na „nie” były, po pierwsze, ewentualne problemy i dłuższe stanie na granicy, bo przewodnik zawsze szybciej przepchnie tamtędy autokar wiedząc co i jak. Po drugie, bakszysz na granicy i podczas jazdy po tureckich ulicach wyłudżany przez miejscowych policjantów od cudzoziemców, o czym słyszeliśmy nie raz, a co podobno jest przejawem lokalnego patriotyzmu, by dawać zarobić miejscowym przewoźnikom. Po trzecie, strata czasu na szukanie hotelu w 18-sto milionowej aglomeracji o szerokości 200 km i wyższe ceny noclegu dla indywidualnego turysty niż zorganizowanej grupy. Po czwarte, zmęczenie jazdą, brak snu kierowcy i niemożność wypicia nawet jednego piwa lub lampki wina przed długą podróżą, co w autokarze jest przyjemną normą, gdy jej się oczywiście nie nadwyręża.

Na „tak” były wszystkie kontrargumenty na powyższe i przede wszystkim to, że w grupie jest po prostu rażniej i można poznać nowych ludzi. Suma sumarum około 20.00 załadowaliśmy się do autokaru, płacąc wcześniej 80 euro za osobę za przejazd w obie strony, wyżywienie, nocleg w hotelu i wycieczkę objazdową na miejscu po Stambule z przejazdem na azjatycką stronę. Nie muszę chyba nadmieniać, że wycieczkę wykupiliśmy w lokalnym biurze, a nie w hotelu u naszego tour operatora z Bułgarii, który oferował mniej za wyższą cenę, jak to zwykle bywa.

Wyruszyliśmy ze Złotych Piasków, ale po drodze zabieraliśmy pasażerów z innych miejscowości. W autokarze okazało się, że z Polaków oprócz naszej trójki, czyli mnie, żony i naszej córki, była jeszcze mama z nastoletnim synem; reszta, a właściwie większość pasażerów to Rosjanie. Niestety od razu dało się odczuć napięte stosunki między

naszymi krajami, bo jedna z mieszkanki Moskwy, która miała wyznaczone miejsce obok nas z tyłu autokaru, gdy tylko usłyszała polską mowę od razu poleciała do pilota, by ją przesadził. Zrobiło nam się po prostu głupio, ale postanowiliśmy, że ten mały incydent nie popsuje nam humorów i przynajmniej my postaramy się być mili dla naszych słowiańskich braci znad Wołgi.

Mikrofonowy pilotaż podczas jazdy autokarem też był po rosyjsku, ale na szczęście mieliśmy swoją bułgarską opiekunkę, która świetnie знаła mowę Mickiewicza i opowiadała nam między innymi o jego pobycie w Stambule, gdzie przyszło mu umrzeć. Od niej usłyszeliśmy także wiele interesujących informacji, nie tylko o Turcji i Stambule, ale również o Bułgarii i skomplikowanych relacjach między bałkańskimi krajami. Można by rzec, że nie ma tego złego, bo de facto mieliśmy nie grupowego, ale właściwie swojego indywidualnego pilota podczas tej ekskursji.

Drogi bułgarskie nie należą do najlepszych, a przed Burgas są dodatkowo dosyć kręte, więc zwyczajnie się wlekliśmy. Po trasie mieliśmy tylko jeden przystanek na stacji benzynowej, gdzie można było skorzystać z WC i zapisać się na dodatkowe wycieczki u pilotów np. po tamtejszych meczetach i cerkwiach, na rejs po Bosforze, czy zwiedzanie Hagia Sofia, Pałacu Topkapi i Pałacu Dolmabahce. My zdecydowaliśmy się jedynie na rejs po Bosforze i wieczór turecki, a pozostałe atrakcje postanowiliśmy poznać na własną rękę. Jak się później okazało to była dobra decyzja, bo samodzielnie można było kupić dużo tańsze bilety, a z hotelu mieliśmy niedaleko. Jedynie żałujemy Pałacu Dolmabahce, który jak się okazało można zwiedzać tylko w wybrane dni i wyłącznie z większą grupą, ponad 20 osób.

Na granicy bułgarsko-tureckiej straciliśmy około godziny czasu. Bułgarzy zbierali wszystkie rosyjskie paszporty, by powbić wizy; nasze jako członków Unii Europejskiej tylko oglądali. Po stronie tureckiej, już musieliśmy jednak wszyscy wysiąść z autokaru i udać się do kolejki przy okienku, by osobiście zaprezentować się panom celnikom. Po otrzymaniu wizy za 15\$, można było wrócić do autokaru. Przed odjazdem jednak jeszcze jeden celnik turecki musiał sprawdzić czy każdy pasażer ma paszport z otrzymaną przed chwilą wizą. Trochę to dziwne, ale przynajmniej dla nas było miłe, gdy Turek patrząc na polskie paszporty, uśmiechnął się i powitał nas po polsku - Jak się masz? Wobec Rosjan, jak zauważyliśmy był bardziej formalny.

Już na posterunku granicznym widać było uwielbienie Turków do swojego pierwszego prezydenta Ataturka, którego podobizny były rozwieszane na każdej niemal ścianie i wolnym miejscu. Przypomniały nam się kwietniowe widoki z Tunezji, gdzie zewsząd spozierał na nas niejaki Ben Ali. Jak się dowiedzieliśmy od naszej pilotki, Ataturk, to przybrane określenie oznaczające Ojca Turków. W Turcji ponoć nie można

się śmiać z dwóch spraw, z armii i Ataturka właśnie, za co grożą wysokie grzywny. Gdy nam to uświadomiono staliśmy się bardziej wstrzemięźliwi w komentowaniu tego, co widzimy dookoła.

Do Stambułu dotarliśmy świetną autostradą koło 6.00 nad ranem. Niestety trochę bolały nas kręgosłupy od naszych mało wygodnych foteli w autokarze z początku lat dziewięćdziesiątych chyba. Po zostawieniu bagażu w hotelowej przechowalni i zjedzeniu śniadania udaliśmy się na programową wycieczkę po mieście. Zakwaterowanie w hotelu miało nastąpić dopiero po godzinie 12.00 więc to był całkiem niezły pomysł. Po Stambule poruszaliśmy się wynajętymi, miejscowymi busami. Osobno Polacy, osobno Rosjanie. Dla nas to była komfortowa sytuacja, bo mieliśmy dużo miejsca w aucie i oczywiście swoją pilotkę.

Wysiedliśmy niedaleko Błękitnego Meczetu, który od razu zrobił na nas wielkie wrażenie. Zwraca uwagę jego sześć minaretów, natomiast sama nazwa „błękitny” wzięła się z kolorystyki wnętrza, które mieliśmy okazję obejrzeć, po wcześniejszym zdjęciu butów i okryciu ramion.

Po drugiej stronie placu z niewielkim parkiem znajduje się Hagia Sofia, którą teraz mogliśmy podziwiać jedynie z daleka. Spacerkiem udaliśmy się do Hipodromu, gdzie znajdują się obeliski Teodozjusza I i Konstantyna VII oraz Kolumna Wężowa. Cesarz Wilhelm ufundował tutaj piękną Fontannę niemiecką z kolorowym, mozaikowym sklepieniem. Nieopodal znajduje się kamień, który ponoć wyznacza koniec, a zarazem początek świata.

Po tym udanym spacerze udaliśmy się naszym busem na drugą stronę cieśniny Bosfor, czyli do części azjatyckiego miasta. To miał być nasz pierwszy krok na kontynencie azjatyckim, więc byliśmy podekscytowani samym tym faktem. Przejeżdżaliśmy obok bramy Pałacu Dolmabahce, do budowy którego użyto ponoć 30 ton srebra i 15 ton złota. Miał on być typową pokazówką dla monarchów europejskich, by utwierdzić ich w przekonaniu o zamożności kraju. Niestety tego typu inwestycje odbiły się na skarbcu, który niedługo potem został pusty. Była to zapewne jedna z przyczyn klęski tureckiej w wojnie z Rosją i zbliżającego się przewrotu, po którym obalono sułtanat i proklamowano republikę.

Część azjatycka Stambułu to przede wszystkim dzielnice mieszkaniowe, a nad samym Bosforem mieszczą się głównie letnie rezydencje bogaczy. Mieliśmy okazję w jednej z tamtejszych kafejek na wzgórzu wypić wyśmienitą kawę po turecku, smakując tiramisu i podziwiając przy tym wspaniałe widoki na Bosfor oraz europejskie dzielnice miasta. A więc Azja zdobyta. Skromnie, bo skromnie, ale formalnie mamy ją już na koncie.

W drodze powrotnej z tej pierwszej objazdówki po mieście, zatrzymaliśmy się w fabryce odzieży skórzanej, z której Stambuł

słynie, nie tylko w Europie. Jak się jednak okazało same skóry są sprowadzane z Włoch, ale za to cały proces szycia odbywa się nadal ręcznie, co nas zaskoczyło. Przepiękne kożuchy, skórzane kurteczki, torebki i futrzane narzutki miały swoją cenę, ale można było się oczywiście targować. Normą było zabicie ceny z 200 euro do powiedzmy 50, ale dla nas to było i tak poza zasięgiem, choć i nasi współtowarzysze Rosjanie też niewiele zakupów tam poczynili. Natomiast nasi piloci wyszli z wypchanymi reklamówkami, w których były zapewne prezenty od menadżerów marketingu tego zakładu za narajenie klientów.

Zakwaterowaliśmy się w trzygwiazdkowym Aghun Otel za Hotelem Kent znajdującym się przy głównej alei na Old Town Beyazit. Nasz hotel okazał się bardzo przytulny i komfortowy, znaleźliśmy w pokoju nawet foliowe czepki pod prysznic i białe, firmowe kapcie jednorazowe. Zwróciłem uwagę też na cennik, na którym widniało jak byk, że za double room trzeba zapłacić 80 Euro, a za triple 100. Więc z naszych 80 Euro za wycieczkę, za sam hotel musielibyśmy dać ze 30-40 Euro.

Obiad w postaci szwedzkiego stołu był smaczny i obfity z profesjonalną obsługą, choć mieliśmy tutaj podobny incydent jak w autokarze. Nasi towarzysze z Moskwy nie mogli zrozumieć, że kelner wskazuje miejsca po kolei przy zarezerwowanych dla całej grupy stolikach. Jedna z rodzin, którą usadowiono przy nas, obruszona tym faktem natychmiast przeniosła się w inne miejsce. Poczuliśmy się przez chwilę jak zadżumieni, ale co tam, ważne, że smacznie i czysto.

Po krótkiej poobiedniej drzemce w wygodnych łóżkach udaliśmy się na samodzielne zwiedzanie Stambułu. Na pierwszy rzut poszedł Pałac Topkapi. Bilet za 20 tureckich lirów (ok. 40 zł) okazał się dwa razy tańszy niż u naszej pilotki, przy czym nie musieliśmy płacić za dziecko do 12 lat. Za wstęp do haremu trzeba dodatkowo zapłacić 15 LT. Teren pałacu jest obszerny i na zwiedzenie całości trzeba przeznaczyć kilka godzin.

Nam w pamięci najbardziej utkwił widok pięknego, olbrzymiego diamentu w skarbcu oraz relikwie proroka Mahometa, jak na przykład gipsowy odcisk jego stopy, co u nas wzbudzało uśmiech na ustach, ale u tłumnie wizytujących to miejsce muzułmanów podziw i zachwyt. Żartowaliśmy sobie, że u nas też podobno kiedyś podziwiano szczebel z drabiny, która przyśniła się bodajże św. Antoniemu. Córka natomiast chyba najbardziej zapamiętała szwendające się po parku przemiłe, oswojone koty wszelkiej maści i przelatujące co chwila nad nami skrzeczące papugi.

Architektura pałacu jest natomiast dość skromna, w bizantyjskim stylu, bez nadmiernego zdobnictwa i ornamentyki. Pałac zbudowano w XV wieku tuż po zdobyciu Konstantynopola i służył jako centrum administracyjne sułtanom przez cztery stulecia, gdy jego funkcję w XIX wieku przejął

nowo zbudowany wielkim kosztem, wspomniany wcześniej Pałac Dolmabahce.

Przechadzając się do świątyni-muzeum Hagia Sofia, zajrzeliśmy jeszcze do mauzoleum sułtanów, do którego wejście mieści się na wschodniej ścianie świątyni patrząc od frontu. Wstęp jest darmowy, ale trzeba przestrzegać kilku prostych zasad, jak zdejmowanie butów przed wejściem i zachowanie spokoju. Można natomiast robić zdjęcia. Warto tam zajrzeć, choć dla niektórych to tylko pojedyncze kaplice z trumnami obitymi zielonym sukniem. Jednak, gdy posiadzie się wiedzę o tym skąd one się tam wzięły, całość zaczyna robić niesamowite wrażenie. Otóż, wszystkie te trumny zawierają ciała zabitych członków własnej rodziny przez poszczególnych sułtanów, którzy obejmowali tron. Ta okrutna tradycja miała zagwarantować spokój zamiast rodzinnych intryg, zamachów i walk o władzę. Tak więc pierwszą decyzją każdego nowego sułtana było zabicie swoich braci, ich żon, dzieci i innych krewnych. Dzięki nałożnicom z haremu i wybranym spośród nich kilku żonom, sułtan zakładał od podstaw swój nowy ród. Szkoda tylko, że spośród jego członków po śmierci władcy zostawał tylko jeden z synów, który po objęciu tronu musiał zrobić to, co kiedyś jego ojciec. I tak się kręciło to koło śmierci i władzy przez setki lat.

Ze względu na dość spore kolejki do kasy i ceny biletów (20 LT), obejrzelśmy Hagie Sofie tylko z zewnątrz udając się natomiast na Grand Bazaar, który jest ponoć największym targiem w Europie, a mieści się tam ok. 40 tysięcy kramów. Klimat jak na suk całkiem przyjemny. Całość zabudowana od góry, ścienne zdobienia, wytyczone i oznaczone uliczki, wąskie ale drożne. Podobno w niektórych sklepikach można nawet płacić kartą kredytową, a na pewno nie ma problemu z płatnością w różnych walutach. Jak się przekonaliśmy Turcy dosłownie biorą wszystko, co przypomina choćby pieniądź. Można by rzec, że cały Stambuł to taki jeden wielki bazar. Oczywiście zabawa w targowanie to tutaj podstawa. Wielu sprzedawców zna podstawowe słowa po polsku, a spotkaliśmy tu także takich, którzy jeżdżą na handel też czasem do naszego Tuszyna.

Warto tu przytoczyć kilka rad dla kupujących na muzułmańskim suku. Na pewno nigdy nie kupuj za podaną przez sprzedawcę cenę, która jest kilkakrotnie wyższa niż rzeczywista wartość towaru. Jeśli chcesz się targować, co jest wskazane i mile przyjmowane, nie podawaj od razu ceny, za którą chcesz kupić dany towar, a znacznie niższą. Stopniowo podnoś swoją ofertę, gdy twój oponent w tej grze będzie stopniowo obniżał kwotę, za którą chce sprzedać interesujący cię produkt, tak byście spotkali się mniej więcej w połowie kwoty wyjściowej. Nie obrażaj się na wszystkie przytyki o na przykład o chęci wyssania ze sprzedawcy soków, zagłodzenia rodziny czy pokazywane gesty podbijania oka, duszenia, pukania się w głowę itp. To tylko zabawa. Nie wymiękaj też, gdy sprytny handlarz nazywa cię swoim przyjacielem czy good

manem, podaje ci rękę do uścisku, ani na wszystkie wyuczone polskie zwroty. To tylko zagrywki. Jeśli nie chcesz nic kupować to lepiej tu w ogóle wchodzić, oszczędzisz sobie stresu, ani nikogo nie urazisz. Jeśli natomiast uda ci się wytargować choćby t-shirta i nie chcesz więcej robić zakupów tylko pooglądać inne towary, zawsze możesz torbę z zakupioną koszulką pokazywać kolejnym, natrętnym sprzedawcom jako wytłumaczenie czy „odpychacz”.

My po udanych zakupach wróciliśmy zadowoleni do hotelu, by się przebrać w nowe szaty i udać się na wieczór turecki do jednej z miejscowych restauracji. Na sali byli turyści z całego świata, ale o dziwo z Polski bawiliśmy się tam tylko my. Szybko się o tym przekonaliśmy, bo na stolikach kelner do wazonu wstawiał flagi krajów, z których pochodzą siedzący przy nich goście, a wodzirej wyśpiewywał znane kawałki w różnych językach wypatrując właśnie tych chorągiewek. Dla nas poleciała jak zwykle „Szła dziewczeczka do laseczka”, choć dam sobie palec uciąć, że wokalista nie miał pojęcia o czym śpiewa. Tak usłyszeliśmy po kolei piosenki po koreańsku, włosku, grecku, rosyjsku i w jeszcze paru innych językach.

Do naszego stolika dosadzono dwójkę Rosjan z naszej grupy, piękną, młodą pannę Tamarę i trochę dziwnego, zabawnego facia Aleksieja, z którymi miejscową raki, smakującą jak greckie uzo, wychylaliśmy toasty za międzynarodowej drużbu. Jak się szybko okazało nasi biesiadnicy nie byli parą, bo według nas zupełnie do siebie nie pasowali, ani wiekiem ani prezencją.

Na scenie oglądaliśmy tańczące i grające grupy folkowe, przeplatane pokazami tańca brzucha, dudnieniem w bębny janczarów i kręceniem się w kółko derwiszy. Jak się okazało najlepszy taniec brzucha zaprezentowała ...Rosjanka z pochodzenia. Nasz współtowarzysz Aleksiej był zachwycony, choć faworytą publiczności była występująca w finale Turczynka, grubo po trzydziestce, ale za to z falowaniem brzucha jakiego poza Stambułem ponoć nie da się zobaczyć.

Na koniec odbyły się wybory „Miss Świata” spośród reprezentantek publiczności, które musiały pokazać swoje tańce ludowe oraz - jakże by inaczej - taniec brzucha. Niestety system głosowania, czyli która uzyska najgłośniejsze brawa, pozostawiał wiele do życzenia, gdyż mój samodzielny aplauz, którym obdarowałem swoją żonę wystarczył jedynie na zajęcie przez nią bodajże szóstego miejsca. W pierwszej trójce znalazły się natomiast panie, które może nie za bardzo ładnie tańczyły, ale za to miały liczną publiczność z Grecji, Korei i Rosji. Gdzie się podzieli ci wszyscy Polacy, których na całym świecie można spotkać na każdym kroku?

Wieczorek zakończył się pokojowym przesłaniem wodzireja wobec wszystkich narodów świata, co zabrzmiało patetycznie i sztucznie, bo

każdy wie, że jedną z głównych przeszkód na drodze Turcji do Unii Europejskiej, nie jest obawa przed islamizacją Europy, ale właśnie problemy z przestrzeganiem praw człowieka, represje wobec Kurdów i okupacja północnego Cypru.

Następny dzień zaczęliśmy rejsem po Bosforze. Wspaniała wycieczka, godna polecenia każdemu, płatna 15 Euro za osobę. Odradzam natomiast zakup napojów i jedzenia na statku, bo ceny są kilka razy wyższe niż normalnie. Widoki na lewą, europejską stronę, z Pałacem Dolmabahce na czele i na prawą, azjatycką stronę z luksusowymi willami tuż nad samą wodą to niezapomniane przeżycie. Swoją drogą zastanawialiśmy się, że ci bogacze w przybrzeżnych willach nie mają zbyt wiele spokoju i intymności, gdyż są ciągle oglądani ze statków jak małpy w zoo.

Sama nazwa Bosfor oznacza krowi bród, gdyż podobno dawniej, gdy była to jedynie wąska struga, przeprawiano się tędy wraz z bydłem. Obecnie jest to niemożliwe, gdyż ta zalana dolina ma długość ok. 30 km, w najwęższym miejscu 700 m, a w najszerszym prawie 4 km, przy głębokości 70-120 m. Rejs w jedną stronę kończy się przy drugim moście im. Mehmeda Zdobywcy, gdzie statek zawraca. Piękny jest też widok na pierwszy z mostów tzw. Bosforski.

Z samego portu, skąd wypływają statki po Bosforze, rozpościera się widok na największy z wszystkich prawie 3 tysięcy stambulskich meczetów czyli Meczet Sulejmana. Budowla osadzona jest na specjalnym fundamencie, złożonym z cystern wypełnionych wodą, dzięki czemu jest uważana za najbardziej odporny na trzęsienia ziemi obiekt w całym mieście. Ciekawostką jest to, że żoną sułtana Sulejmana była niejaka Roksana, podobno polska branka. Która była niezłą intrygantką, zmierzającą do osadzenia na tronie swojego syna kosztem innych, potencjalnie uprawnionych do tego potomków sułtana z innych żon.

Mimo złej opinii o polskiej Roksanie, Turcy zdają się lubić Polaków bardziej niż inne narody. Ma to związek zapewne zarówno z naszą wspólną historią, jak i czasami bardziej bliższymi kiedy w latach 90-tych wiele naszych rodaków przybywało tutaj na handel. Z czasów zaborów pozostała w Stambule polska wioska, założona przez księcia Czartoryskiego, który wybrał się tutaj na emigrację. Dzisiaj mieszka tam ok. 50 tysięcy Polaków z pochodzenia. Pamiętamy też o tym, że tutaj zmarł też nasz wieszcz Adam Mickiewicz. Warto również wiedzieć, że Turcja była jedynym krajem, który nie uznał rozbiorów Polski. Niestety nasza bułgarska pilotka nie podzielała naszej sympatii do Turków, którzy okupowali jej kraj przez pięć stuleci i to właśnie Rosjanom zawdzięczają wyzwolenie z tureckiej niewoli pod koniec XIX wieku. I pomyśleć, że kiedyś nasz król zwany Warneńczykiem zginął za to samo. Ot, historyczne komplikacje.

Podczas rejsu jeszcze bardziej zżyliśmy się z Aleksiejem, z którym

wczoraj wieczorem byliśmy na wieczorku folkowym. Zaprosił nas do Moskwy, choć na nasze zaproszenie do Polski odpowiedział, że się boi, by go u nas nie pobili. Dziwne opinie, jak widać, mają Rosjanie o naszym kraju, jego mieszkańcach i nastawieniu do Moskali. Przy okazji rozmowy dowiedzieliśmy się od niego, że wczoraj przed wieczornym wypadem do restauracji wybrał się samotnie na spacer po Stambule i został nota bene napadnięty, pobity i ograbiony z portfela, jak się okazało, przez swoich ziomków. I jak to się ma do wzajemnych zaproszeń do naszych krajów i zagrożeń, które w nich czyhają?

Po rejsie pospacerowaliśmy jeszcze po najstarszej części Stambułu, relaksowaliśmy się w pobliskim parku, zjedliśmy smaczne kebaby, pieczone kasztany i kukurydzę oraz prawdziwe lody, których zakup na ulicznym straganie jest prawdziwym show, czyli zabawą w „jak nie dać zakupionego loda”. To trzeba zobaczyć, bo opisać się nie da. Zrobiliśmy też trochę kolejnych zakupów, w tym lokum - znane, tureckie słodycze, czyli galaretki nadziewane różnymi bakaliami, a także kawę, herbatę z zestawem filiżanek, chałwę oraz oczywiście buty i ciuchy. A propos obuwia, to Stambuł jest chyba jednym z ostatnich miast, gdzie można jeszcze spotkać ulicznych czyścibutów.

Ja zajrzałem jeszcze z aparatem fotograficznym do portu w poszukiwaniu moich ulubionych motywów z latarnią morską, która się ciekawie prezentowała na tle zachmurzonego nieba. Intrygująco wyglądały też rybackie łodzie i bukiety kolorowych balonów, do których można było postrzelać z wiatrówek. Na promenadzie nie mogłem odmówić starszemu panu oferującemu przechodniom szklaneczkę tureckiej herbaty, która podana na ciepło, nawet w upalny dzień gasi pragnienie. Na ulicy Kennedy'ego, prostopadłej do nadmorskiego deptaka, zauważyłem policjantów, którzy zatrzymywali zagraniczne auta, chyba wiadomo w jakim celu. To kolejne potwierdzenie, że podjęliśmy słuszną decyzją o przyjeździe do Stambułu autokarem, a nie własnym samochodem. Jeszcze tylko rzut oka na Błękitny Meczet od strony Morza Marmara i czas na powrót do hotelu oraz nocną jazdę w kierunku Bułgarii.

Na granicy cyrk odstawiały krewkie kobitki z wielkimi torbami, które starały się coś tłumaczyć bułgarskim celnikom wyciągającym ich pakunki z bagażnika. Chyba chodziło o zbyt wygórowaną łapówkę za wjazd z załadowanym na handel towarem. Przypomniały nam się czasy jak nasi rodacy jeszcze kilkanaście lat temu, też robili takie jaja na każdej granicy. Mimo, tym razem, małej kolejki do granicznego okienka, straciliśmy i tak godzinę na celnych dywagacjach rosyjskich szmuglerów.

Dojechaliśmy do naszej bułgarskiej miejscowości koło szóstej rano, przed wschodem słońca. Mimo zmęczenia, postanowiliśmy przywitać świtanie nad morzem. Warto było, bo ten widok i świeże wrażenia ze Stambułu ululały nas do snu jak małe dzieci.

